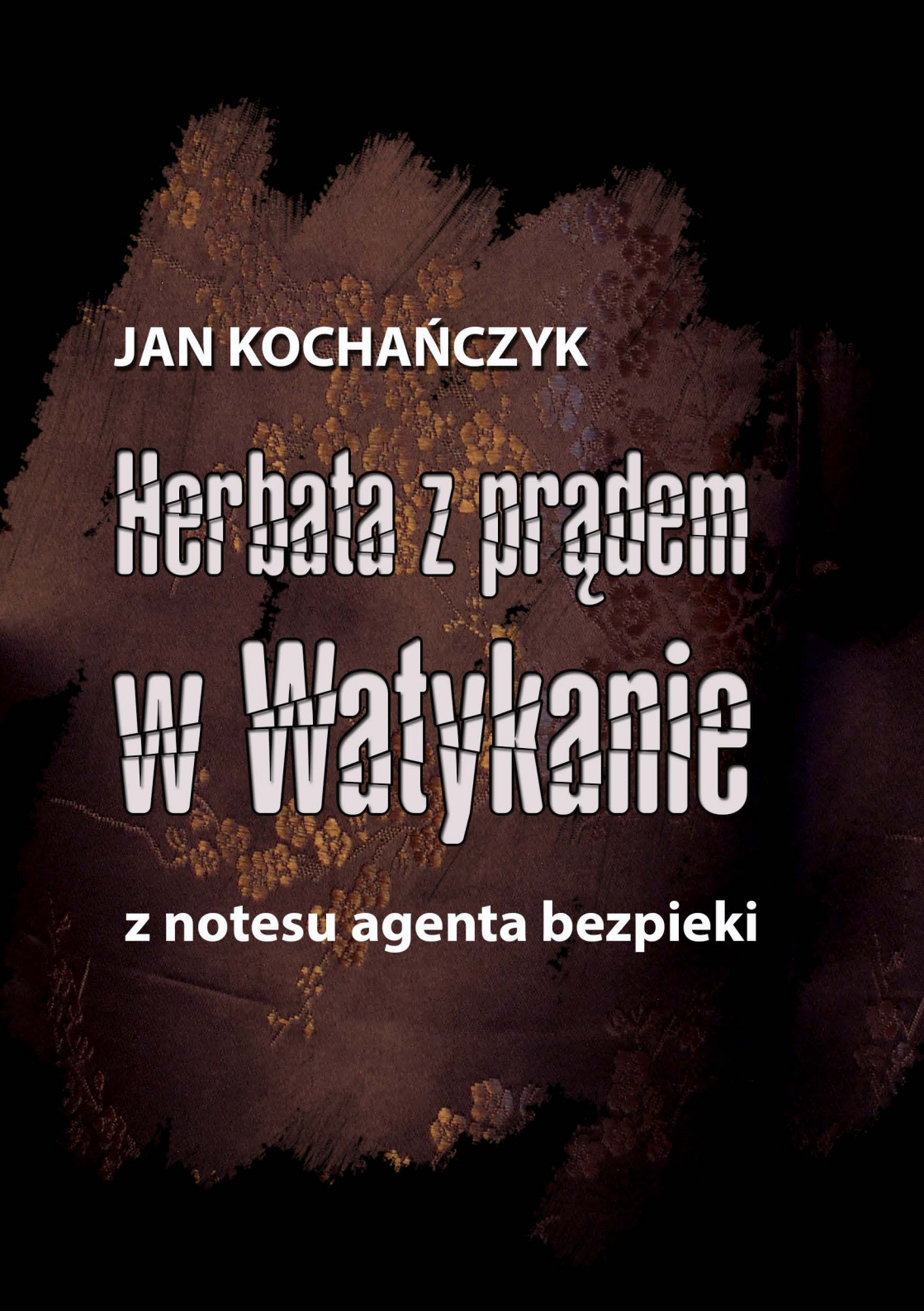




JAN KOCHAŃCZYK

Herbata z prądem w Watykanie

z notesu agenta bezpieki

Jan Kochańczyk

HERBATA Z PRADEM W WATYKANIE

Z notesu agenta bezpieczeństwa

© Copyright by Jan Kochańczyk
& e-bookowo

Projekt okładki: e-bookowo

ISBN 978-83-7859-807-7

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2017

[Kup książkę](#)

Wstęp

Gdzie są chłopcy z tamtych lat? Ci, którzy naprawdę wierzyli w idee Marksa, Lenina, Mao, Fidela...

Kiedys i ja wierzyłem. Podobnie jak słynny angielski szpieg Kim Philby, wielbiłem surowych rewolucjonistów: Robespierre'a i Dzierżyńskiego. Gotów byłem zabijać w imię dobra całej Ludzkości. Komunizm gdzieś się nam jednak rozmywał w drobnomieszczańskim ciepełku. Świat do niego nie dojrzał. Jak sprowadzić do jednego mianownika potęgi przemysłowe Zachodu, rolniczą Azję, dziwaczne kraje islamu?

Potem wspierałem najbardziej radykalne łóża amerykańskich masonów. Oni bardziej racjonalnie spoglądali na przyszłość naszej cywilizacji. Wiedzieli, że skoro dobra materialne tu, na naszej ziemi, są ograniczone, to trzeba do nich dopasować projekt budowy idealnego świata. Trzeba po prostu – w pierwszej kolejności – bezwzględnie ograniczyć liczbę ludzi na planecie.

Tam, gdzie moi oświeceni bracia mieli realne wpływy, w najbardziej rozwiniętych krajach, rzeczywiście doszło do ograniczenia przyrostu. Cóż z tego, skoro w zacofanej Azji, Afryce czy Ameryce Południowej nadal tyka bomba demograficzna? Najbardziej oświeceni myśliciele wpadają często z deszczu pod rynnę!

Zarówno w czasach mojej komunistycznej, jak i masońskiej przygody, za największego wroga uznawałem reakcyjny kler –

szczególnie katolicki, z którym się musiałem zmagać od młodych lat w zacofanej Polsce. Poznałem go dobrze, bo w „bezpiece” już w latach Bieruta i Stalina rozpracowywałem znanych i mniej znanych księży – z późniejszym gwiazdorem, Wojtyłą na czele.

Kiedy Karol został papieżem, ja zbierałem cięgi, że nie zdołałem go odpowiednio wcześniej wyeliminować. Może go za bardzo zlekceważyłem? Poznałem go w czasie, gdy był skromnym, ledwo co widocznym, spokojnym księżyą. Jeździłem za nim na wyprawy kajakowe po Mazurach. Poczciwy Lolek, taki nieszkodliwy Don Kichot religijnego folkloru. Jako biskup też był nijaki, wbrew temu, co opisywali potem panegiryci. To właśnie ja – na swoją zgubę – wydałem opinię, że może jechać na sobór watykański, bo tam nie jest w stanie zaszkodzić sprawie polskiego socjalizmu. A właśnie tam pocziwina zamienił się w polityka. W dodatku stał się w końcu ulubieńcem następnego papieża i rozpoczął drogę do wielkiej, politycznej kariery.

Miałem naprawić swój błąd. Tak jest – właśnie ja. Niestety... W pamiętnym miesiącu, „fatimskim maju” aż nazbyt wiele pistoletów i karabinów jednocześnie było skierowanych w jeden, na pozór łatwy cel. Jak się okazało, zaczęły przeszkadzać sobie wzajemnie.

Kiedy przystępowałem do akcji, czyli do pierwszej próby zamachu na papieża Wojtyłę, byłem przekonany, że sytuacja jest bardzo klarowna. Tu MY, tam ON. Myliłem się. Przypadki niewczą niekiedy nawet najlepsze plany. Tak bywa, kiedy zbyt wiele pajaków w jednym miejscu krzyżuje swoje sieci.

My, komuniści, mieliśmy jasne motywy. Po wyborze „papieża – Polaka” odżywały w postępowej z pozoru Polsce stare bakcyle klerykalizmu. Powstała reakcyjna, odśrodkowa siła, próbująca rozwalić nasz blok. „Polski papież” rozbudzał niebezpieczny prawicowy nacjonalizm; zachęcał otwarcie do walki z realnym socjalizmem. Najlepiej było go więc sprawnie i szybko wyeliminować z gry. Z kolei pobratymcy Ali Agcy działali w myśl nakazów świętej wojny, dosłownie rozumianych przez radykałów islamu. A trzecia siła? Co mieli do zyskania lub stracenia w światowej rozgrywce liberałowie z kręgów masonskich?

W połowie XX wieku mieli oni ogromne wpływy w Kościele katolickim. Po śmierci Pawła VI dążyli do wyboru swojego człowieka także w Watykanie. Chodziło oczywiście o rząd dusz nad milionami owieczek w najpotężniejszej, najbardziej cywilizowanej części świata. Byli blisko. Ich kandydat był pewniakiem. A jednak... po konserwatywnym Pawle VI wkrótce na tron Piotrowy wstąpił jeszcze bardziej konserwatywny katolik z Polski. Wróg racjonalnej przebudowy świata w duchu liberalnym. Wróg regulacji urodzin, kontroli przyrostu naturalnego w czasach, kiedy największym zagrożeniem dla świata stała się „bomba demograficzna”, przeludnienie, ponad miarę możliwości globu. Pigułki, prezerwatywy, radosny seks nie skierowany na bezmyślną prokreację – oto najprostsze sposoby rozwiązania problemu. Tymczasem zapatrzony w biblijne przykazania prymitywnych ludów sprzed tysięcy lat CIEMNOGRÓD nie akceptował nowych tablic wartości. Trzeba go było zaatakować w imię najwyższych wartości – w imię biolo-

gicznego przetrwania świata.

Trzy potężne siły próbowały zniszczyć łatwego do ustrzeżenia człowieka. Mieli do dyspozycji najlepszych zawodowców, a jednak... Spartaczyli sprawę! To graniczyło z cudem i w dodatku dawało różnym bezmózgowcom „dowód” na istnienie Opatrzności. Nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać. Ale, ale – czy mam prawo surowo osądzać błędy innych, skoro sam zawiodłem? Moją słabością był strach, najzwyczajniejszy w świecie instynkt życia. On drwi sobie z naszych wyrozumowanych mądrości. Niestety.

Część 1

Czas działania

KRWAWA PIRAMIDA

– Bogowie łakną krwi! – powiedział Jerzy. – Spójrz na szczyt tej piramidy. Tam uśmiercono tysiące młodych ludzi. Pięknym w swej bujnej młodości, a nieprzytomnym ze strachu, kapłani wyrwali serca. Wierzyli, że młoda, gorąca krew najbardziej smakuje bogom Azteków, Majów czy Inków. Musisz dokładnie opisać krwawe zwyczaje tych barbarzyńców, aby dostarczyć mi materiału do cyklu reportaży o religijnych zabobonach, zatruwających mózgi gorzej niż opium – jak pisał pięknie Karol Marks!

– A wcześniej Wolter – dodałem, bo rzeczywiście porównanie wyszło od autora „Kandyda”.

Byliśmy w sercu Meksyku, w dniu równonocy wiosennej 1955 roku, wmieszani w tłum ludzi z różnych stron świata, przed słynną piramidą Kukulkana, boga Majów – Upierzonego Węża. Wspaniała była ta nasza wyprawa do miasta starożytnych Majów na Jukatanie. Obserwowaliśmy niezwykłą grę światła i cienia; sprytną sztukę dawnych architektów. Padające na balustradę schodów piramidy promienie słońca dwa razy w roku wywołują efekt pełzającego węża. Sztuczka zachwycająca nawet dla nieskorych do

entuzjazmu turystów z racjonalnej Europy, która zrodziła Epikura, Woltera i Karola Marksa... Wmieszani w tłum, klaskaliśmy jak dzieci – ja – religioznawca z Krakowa i on – czołowy pisarz Polski budującej socjalizm w okresie tuż po śmierci Stalina. Był wtedy wiceprzewodniczącym Związku Literatów i szefem Podstawowej Organizacji Partyjnej. Dzięki niemu zwiedziłem kawał świata; nie dla płochy rozrywki, ale dla złoźnego celu tropienia religijnych zabobonów i pokazywania ich w książkach szalenie popularnych w całym bloku krajów socjalistycznych. Muszę przyznać, że sympatia mojego mentora i opiekuna była dla mnie czasami kłopotliwa, bo krążyły plotki o jego nietypowych obyczajach erotycznych, ale wszelkie podejrzenia co do naszych wzajemnych stosunków były bezpodstawne. Prawdopodobnie sześćdziesięcioletni wtedy pisarz, jeżeli już – to wołał bardziej zielone ode mnie owoce. Nasza przyjaźń była pozbawiona jakichkolwiek podtekstów. Jurek cenił mnie za dużą wiedzę o mitach, obyczajach i praktykach religijnych przedstawicieli różnych cywilizacji. Dostarczałem mu tworzywa do popularnych książek, wysoko cenionych dawniej nawet przez samego Stalina, a sam przy okazji pisałem (pod pseudonimem) wielokrotnie nagradzane prace naukowe.

Wspaniała, kolosalna bryła piramidy Kukulkana przypominała czasy piekielnych procesji, prowadzących spod jej ścian do świętego Cenote, jeziora ofiar z ludzi. Oczarowani wędrówką Upierzonego Węża po murach jego zamku, ruszyliśmy dawnym szlakiem pielgrzymkowym, wmieszani w grupę podekscytowanych Indian.

– Podobno Majowie dosyć rzadko składali swoim bogom

ofiary z ludzi – mówił Jerzy, ocierając pot z czoła i ciężko wzdychając z powodu upału i kurzu po drodze.

– Na pewno rzadziej niż krwiożerczy Aztekowie z okolic dzisiejszej stolicy Meksyku – powiedziałem. – Krew jednak uznawano za najcenniejszy przysmak bogów i nie skąpiono jej podczas świąt religijnych... Nawet królowie poświęcali kilka kropel swej szlachetnej krwi na ołtarzach. Jeńcy wojenni często stanowili mięso bogów...

– Bezlitośnie zabijano najpiękniejsze dzieci i młodzieńców w rozkwicie chłopięcej urody! – mówił wzburzony Jerzy.

– Tak... Poświęcano też najpiękniejsze dziewczęta! Znakomity uczony amerykański Edward Thompson, który prowadził badania właśnie tutaj, w Chichen Itza, opisywał krwawe procesje kapłanów ze schodów piramidy Kukulkana, wiodących pod strażą przerażone ofiary tą naszą Świętą Drogą w stronę Jeziora Ofiar. Wśród łomotu bębnow, wycia piszczałek, zawodzenia fletów, wrzucano do wody piękne dziewice i dorodnych jeńców-wojowników... Thompson był pionierem archeologii podwodnej. Wydobyl z dna jeziora wiele szkieletów ludzkich. Na początek zidentyfikował 21 szkielecików dziecięcych, 13 szkieletów młodych mężczyzn i 8 kobiet...

– Podobno nie odczuwali bólu, bo podawano im silne narkotyki.

– Z tym różnie bywało. Thompson odkrył na dnie jeziora wiele cennych klejnotów, rzucanych bogom na ofiarę – a wśród nich ozdobne noże obrzędowe z krzemiennymi ostrzami. Służyły

do wyrywania serc z piersi ofiar. Zamieniały się one w krwawiące, rozedrgane rany... Czy jakikolwiek narkotyk może być skuteczny w obliczu wymyślnych tortur?

Stanęliśmy nad brzegami świętego jeziora Majów.

– Dziwne: jak twórcy wspaniałej cywilizacji, tworzący arcydzieła architektury i precyzyjne kalendarze, genialni matematycy – mogli być zdolni do takiego barbarzyństwa! – wzdychał Jerzy.

– Inna była cena życia ludzkiego w tamtych czasach – mówiłem ściszym głosem, patrząc w lustro wody. – Mieszkańcy tych stron byli mniej wrażliwi od nas, delikatnych Europejczyków. Hitlerowscy oprawcy często mdleli na widok krwi... Karabiny maszynowe oddaliły ofiary sprzed oczu katów. Komory gazowe zamieniały szybko krwawą miazgę ludzką w higieniczny proch... Tymczasem Aztekowie czy Majowie ściągali często skóry z ludzkich ofiar, naciągali je na siebie i paradowali w takich „strojach” przez długie tygodnie. Nie myli się, nie kąpali, nie mieli odruchów wymiotnych...

– Byli przekonani, że takie zachowanie błogosławią bogowie. Religia jest opium, niszczącym ludzki rozum i odruchy humanitarne.

– Tak. Wybitny uczony Sylvanus Morley w książce o obyczajach Majów dokładnie opisywał krwawe ceremonie tych amerykańskich tubylców – podobno bardziej „humanitarnych” od złowrogich, wojowniczych Azteków! Ofiary rozbiegano, ciała malowano na niebiesko – ulubiony kolor bogów. Nakrywano spiczastą czapeczką i prowadzono na plac ofiarny na dziedzińcu świą-

tyni lub wierzchołku piramidy. Najpierw wypędzano złe duchy, potem smarowano niebieską farbą ołtarz, zbudowany z wypukłego kamienia, aby lepiej przeżyła się do góry klatka piersiowa ofiary. Czterej kapłani chwyтали ofiarę i kładli na ołtarzu. Zbliżał się mistrz ceremonii z ostrym nożem krzemiennym i wbijał ostrze pod żebro ofiary, poniżej lewej piersi. Zanurzał rękę w ranę, wyciągał tętniące jeszcze serce i podawał drugiemu kapłanowi. A ten gorącą krwią z serca smarował posąg bóstwa. Jeżeli składano ofiarę na wierzchołku piramidy, ciało zabitego rzucano niżej, na dziedziniec. Tam kapłani niższej rangi obdzierali zwłoki ze skóry. Jeden z mistrzów ceremonii zdejmował szaty obrzędowe i zakładał na siebie ciepłą jeszcze ludzką skórę... Zaczynały się radosne płasy kapłanów i wiernych...

Zapatrzony w lustro wody nie zauważyłem, że wrażliwy Jurek zbladł i dostał mdłości podczas tej mojej opowieści. Usiadł nad brzegiem Jeziora Ofiar. Zwiżyłem mu skronie lodową wodą.

Taki wrażliwy, a jednak... Po powrocie dał znacznie bardziej drastyczne opisy obyczajów religijnych Majów, Azteków czy Inków, aniżeli moje dosyć rzeczowe opowiadanie. Jego cykl książek „Religia to opium ludu” nie był wcale lekturą dla grzecznych pańienek. Przypominał raczej obozowe opisy Tadeusza Borowskiego. Nie wiem, jaka była w istocie owa „wrażliwość” pisarza. Chwila słabości w Chichen Itza daje Jerzemu chyba jednak bardzo dobre świadectwo.

Spis treści

Wstęp	4
Część 1 Czas działania	8
KRWAWA PIRAMIDA	8
KRAKÓW 1955	14
WYSZYŃSKIEGO OPIUM DLA LUDU	20
SOCJALISTYCZNA RODZINA	25
MOJE METODY	28
RUTYNOWE TORTURY	32
WATYKAN ZASKOCZYŁ NAS	36
WYROK NA WOJTYŁĘ	38
MOJA ŻYCIOWA ROLA?	49
ZAPIS ROZMOWY	52
W SIDŁACH BEZPIEKI	77
OD SZANTAŻU DO TRUCIZNY...DROGA REWOLUCJONISTY	80
DLACZEGO ZDEZERTOWAŁEM? – PLAN UCIECZKI	95
ZAPIS ROZMOWY KONTROLOWANEJ	99
LOCHY WATYKANU	119
BOND NA EMERYTURZE	122
Część 2 Czas refleksji	125
ROZRACHUNEK Z KOMUNĄ. KAROL MARKS	125
ROZRACHUNEK Z KOMUNĄ. LENIN	132
ROZRACHUNEK Z KOMUNĄ. STALIN	138
ROZRACHUNEK Z KOMUNĄ. BERIA	153
ROZRACHUNEK Z KOMUNĄ. CHRUSZCZOW	160
ROZRACHUNEK Z KOMUNĄ. MAO ZEDONG	165

ROZRACHUNEK Z KOMUNĄ. GORBACZOW	178
KOSMICZNY KOWBOJ	184
FIDEL CZYLI:NIENAWIŚĆ	192
NAWRÓCENIE JERZEGO	200
Część 3 Jaka przyszłość?	206
BARBARZYŃSTWO STARE I NOWE	206
KIM WŁAŚCIWIE BYŁ BEN MORTENSSON?	211
BARDZIEJ SKUTECZNI NIŻ KOMUNIŚCI?	223
KOMUNIŚCI CZY MASONI?	232
TO CO NAS ŁĄCZY: TERROR NIEZBĘDNY I KONIECZNY	239
TAJEMNICA SOPHIE	248
NAJPIERW WYGRAŁ STALIN, POTEM RETINGER	254
Część 4 Zakończenie „Testament mój”...	261
CZY TAK MUSIAŁO BYĆ?	261
NIEUCHWYTNY BEN	270
CZARODZIEJSKI FLET	274
POSTSCRIPTUM	276
ŻEGNAJ, SOPHIE!	279
Od redakcji	284
UZUPEŁNIENIE	286